

Kuła u nogi

12 października 2013



„Wydarzyło się to bardzo dawno temu” – mówi o swoim doświadczeniu pan Mieczysław Strzechowski – muzealnik i etnolog. W pierwszej połowie lat 1960. był on świadkiem bardzo bliskiej obserwacji niezwykłego obiektu. Bezszelestnie nad ulicą miasteczka, w którym wówczas mieszkał, płynęła czerwona kula: „Miałem wrażenie, że ta kula żyje, cokolwiek miałoby to znaczyć. Patrzyłem zafascynowany sytuacją. Nie widziałem nic innego, nie słyszałem, byłem w jakimś bezruchu. Nade mną była kula. Nie czułem chłodu. Jak długo to trwało, nie wiem” – wspomina...

Wydarzyło się to dawno temu, dla wielu młodszych internautów prawie w czasach prahistorycznych, ale zaręczam, że miniony czas w najmniejszym stopniu nie wpłynął na jasność i czytelność tego co pamiętam. Zapewniam również, że relacja moja będzie wolna od częstych (niestety) w takich wypadkach nadinterpretacji, prób upiększania, czy dodawania czegoś, by przekaz bardziej uwiarygodnić w odbiorze. Literaturę ufologiczną znam od lat, i wiem, że zapędy literackie ma niejeden z tych parających się nią „zawodowo”. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem, co już samo w sobie jest rzeczą

zastanawiającą. Postaram się, by czytelnika nie zanudzić, ani nie zmęczyć.

Jest pierwsza połowa lat 1960. Mam kilkanaście lat, a w środowisku opinię chłopca zrównoważonego, dobrze uczącego się, i niech będzie to próbą przedstawienia się. Dom, w którym mieszkali rodzice stał przy ruchliwej ulicy, łączącej dwa miasteczka po obu stronach rzeki Drwęcy. Ruchliwej, bo trudno było wychwycić chwilę, kiedy ktoś po niej nie szedł, nie jechał, nie stał gdzieś niedaleko. A pora późnojesiennego zmierzchu, choć jeszcze nie wieczoru, zawsze była w życiu obu miasteczek porą intensywnego przemieszczania się mieszkańców. Zakupy, sklepy, życie towarzyskie, i tego typu zachowania, czyniły to miejsce intensywnie żywym.

Tego dnia byłem w domu sam. Wracając z podwórza na zapleczu budynku, wszedłem do pokoju, którego okno wychodziło na tą właśnie ulicę. W tym starym domu, by włączyć światło trzeba było przejść całą szerokość pomieszczenia, gdyż kontakt był na przeciwnej ścianie. Zmierzając w jego stronę, zwróciłem swoją uwagę na parapet okna, a właściwie to parapet zwrócił uwagę na siebie. Był zawsze śnieżnobiały, ale teraz zaczynał się różowić w oczach, nabierając niezwykle intensywniej barwy. To trwało przez chwilę. Moje zaciekawienie szybko przerodziło się w panikę, a jej powodem były niedawne wielkie pożary w mieście wywołane przez psychopatycznego piromana.

Pali się! To był mój pierwszy odruch. Pali się i to pewnie gdzieś nad głową, bo dom był piętrowy. W skrajnym przerażeniu rzuciłem się do ucieczki. Wybiegłem na korytarz, a następnie na ulicę. Latarnie miejskie jeszcze się nie świeciły. Zatrzymałem się, i zastygłem w bezruchu. Nie, to nie był pożar. Nad ulicą powoli przemieszczała się kula promieniująca czerwienią. Płynęła powoli, wzdłuż jej głównego ciągu, bezszelestnie. Powierzchnia kuli nie była jednolita. Przecinały ją jakby zmarszczki, falujące i zmieniające się. Widziałem jak ceramiczne izolatory na słupach elektrycznych odbijają światło kuli, ale to samo światło nie jest odbijane

przez cokolwiek innego.

Miałem wrażenie, że ta kula żyje, cokolwiek miałoby to znaczyć. Patrzyłem zafascynowany sytuacją. Nie widziałem nic innego, nie słyszałem, byłem w jakimś bezruchu. Nade mną była kula. Nie czułem chłodu. Jak długo to trwało, nie wiem. Kula powoli przesunęła się dalej wzdłuż ulicy. Nie zmniejszając swej średnicy powoli zanikała, aż zanikła zupełnie. Wróciłem do domu dziwnie spokojny. Nikomu o tym nie powiedziałem. Dlaczego? Nie miałem takiej potrzeby. Dziwne, ale prawdziwe.

Tyle opowieści, Nic specjalnego, balon pewnie jakiś leciał sobie, albo piłka za wysoko kopnięta nie chciała opaść zgodnie z prawem grawitacji. Tak by pewnie wydarzenie podsumowały ówczesne media, gdyby historia ta do nich dotarła. To były zupełnie inne czasy. Latające talerze, choć gdzieś tam na Zachodzie pojawiały się, ale zawsze z zielonymi ludzikami, i wyłącznie w sezonie ogórkowym. U nas w PRL-u nic takiego nie mogło wydarzyć się. Nie było odpowiedniej literatury, nikt nie zajmował się rejestracją wydarzeń, które nie miały prawa pojawić się. Ludzie pokątnie opowiadali sobie o dziwnych rzeczach, ale generalnie sprawy ujmując powszechna wiedza o „niewyjaśnionym i nieznanym” była zerowa. Kultowy Daeniken miał pojawić się dopiero za wiele lat, i wywołać powszechną, choć usilnie skrywaną burzę.

Jeszcze wtedy, jako młody chłopak, a tym bardziej już jako dojrzały mężczyzna z nieporównywalnie większą wiedzą, wiedziałem, że byłem świadkiem czegoś niezwykłego, a nawet w niezwykłości tej wziąłem udział. Przypatrzmy się bliżej temu „czemuś”, co widziałem, i co w latach następnych próbowałem zrozumieć.

Światło. Przywykliśmy określać rodzaj światła, oraz kierunek, z którego pada. Znane nam światło ma swoje promienie, wiemy kiedy porusza się jego źródło. To „moje” było inne. Ono nie miało promieni. Patrząc na wspomniany wyżej parapet widziałem, jak biel zmienia się w czerwień, w taki sposób, jakby to w

białą powierzchnie emalii barwa wnikała, a nie kładła się po niej. Czyli tak, jakby biała emalia zmieniła się w czerwoną, a nie była nią oświetlona. To samo stało się ze stojącym na parapecie jakimś tam kwiatkiem. Roślina nie rzucała cienia, a powinna skoro domniemane źródło światła było w górze, i także poczerwieniała w całości. Dlaczego światło to kładło się na izolatorach, a na słupie i latarni już nie. Dlaczego światła tego nie widziałem na sobie.

Kula. Nawet przez chwilę nie byłem pewny, na jakiej wysokości się znajduje. Gdyby była powiedzmy na wysokości 10 m, miałaby ok. 2 m średnicy. Jeśli byłby to 1 km, byłaby ogromna. To światło-nie światło nie pozwoliło na określenie wysokości, lub odległości. Wokół kuli nie było chmur, ani nic, co pozwoliłoby dokonać jakiegokolwiek szacunku. Za nią była czerń. Powierzchnia kuli „gotowała się”. Podobne wrażenie ma się patrząc w gardziel wulkanicznego krateru, lub obserwując powierzchnię słońca poprzez specjalne filtry. Do tej pory czuję jakby bijące od niej ciepło, ale może to tylko sugestia wpływająca ze skojarzeń.

Ulica. Nie bez powodu poświęciłem jej powyżej kilka zdań ją opisujących. To było ruchliwe miejsce. Jak więc to możliwe, że fenomen ten widziałem tylko ja. Dlaczego następnego dnia miasto nie huczało od komentarzy, a ja zostałem osamotniony w swoich doznaniach. Gdzie ja więc stałem, gdzie byłem obserwując kulę? Dlaczego zapamiętałem z całej ulicy jedynie słup z izolatorami, gdzie podziało się miasto z gwarem i swoim ruchem?

Cisza. I jakby martwota. Nic nie słyszałem, nawet samego siebie. Podobnych skojarzeń doświadczam po wejściu do głęboko usytuowanej piwnicy, gdzie nie docierają odgłosy z zewnątrz, a atmosfera jest „gęsta” i jakby „zamknięta”, i gdy nie ma to nic wspólnego z klaustrofobią.

Moje milczenie. Żywy, ruchliwy chłopak nie dzieli się z rówieśnikami, rodzicami, w ogóle z całym swoim światem,

ekstraordinaryjnym doznaniem. Nie wiem, dlaczego. Sam przed sobą tłumaczę to nie posiadaniem potrzeby dzielenia się. Tak to wtedy było i trwało całe lata. Co stało się więc teraz? Też nie wiem. Chcę jedynie z całą mocą podkreślić, że nigdy w mojej głowie nie powstała obawa ośmieszenia się, czy wystawienia na szyderstwo. Nie, to nie było to.

Dziś świat jest inny. Wiemy dużo, wymieniamy się doświadczeniami, ze zgromadzonej wiedzy wyciągamy wnioski. Wiemy, że „oni” tu są, i że byli od dawna. Ale tylko od nich dowiemy się więcej, jeśli zdecydują swoją wiedzę podzielić się z nami. Marzymy o lepszym świecie, może zafundowanym, ale mało zastanawiamy się, czy ten świat nam się należy. Może za mało daliśmy z siebie, zawodząc swoich twórców. Eksperyment Ziemia trwa jednak nadal. Czasami widząc przyrodników jak ważą, mierzą i obrączkują, uśmiecham się sam do siebie, widząc młodego chłopca wpatrującego się w kulę, któremu być może wtedy właśnie zakładają teczkę personalną. Być może. Chciałbym tą teczkę kiedyś zobaczyć.

Autor: Mieczysław Strzechowski

Ilustracja: Sebastian „Yoszek” Woszczyk, yoszek.com

Źródło: [Infra](#)